

JÓZEF
CZAPSKI

*Świat
w moich
oczach*

Rozmowy przeprowadził

Piotr Kłoczowski

Wydawnictwo Próby

Natychmiast było czytelne. Jak raz już mnie ugryzł, to na zawsze.

I wtedy sięgnąłeś po inne tomy?

Po wszystko, co tylko mogłem. Nie wiem, czy miałem wszystkie tomy. Myślę, że w Londynie przeczytałem Prousta do końca, a potem, gdy wróciłem do Paryża, ściągnąłem sobie wszystkie inne tomy. Nie pamiętam. Wiem tylko, że odtąd miałem go zawsze przy sobie.

W pewnym tekście, ważnym osobiście dla mnie samego, próbowałeś zapisać, że lektura Prousta, która była przecież pewną rewelacją...

Absolutną rewelacją...

...i to nie tylko literacką, bo dotykała jakiegoś życiowego doświadczenia też...

Naturalnie, dotykała wielkiej głęбини człowieka...

...i że ta lektura połączyła się z rewelacją malarską. Opisywałeś wizytę w National Gallery i obrazek Corota. Czy widzisz to jakoś razem?

Widzę to na zupełnie innych drogach. Malarstwo zatrzało mnie wiele lat wcześniej.

Ja myślę tu o „olśnieniu”.

Tak, właśnie „olśnienie”... Przypominasz mi to. Dzisiaj chciałem to zapisać. Jest jedna rzecz, którą bardzo cenię, to jest to, co napisałem, jadąc z Moskwy do Taszkientu. Siedzieliśmy we czwórkę lub w szóstkę. Miałem kosz z doskonałymi rzeczami, z kielbasą i tak dalej. Bo wtedy byłem honorowany w tym krótkim momencie, kiedy Niemcy jeszcze poruszali się, a Polacy naraz zrobili się szlachetni i bohaterowie, i co chcesz. No więc jak ja wyjeżdżałem aż do Taszkientu do wojska, to dano mi duży kosz, gdzie była butelka wina, była kielbasa, najsmaczniejsze rzeczy, specjały. I to mi zrobiło natychmiast bliskich przyjaciół w tym wagonie. Pewien oficer wyskakiwał

na stacjach i dostawał chleb, a ja miałem te specjały. Inni też coś mieli i tak zrobiliśmy sobie taką rodzinę na tym moim koszu.

Ale mówisz, że zapisałeś wtedy coś ważnego.

I wtedy pisałem o lenistwie, o odpoczynku, o takich rzeczach. I to murowane, uważam, że to najlepszy tekst mojego życia. A żebyś wiedział, czego nie napisałem, a co chciałbym jeszcze dzisiaj napisać i co by nie było muszę napisać, to: jak się zanadto dociska, jest się zmęczonym, ale chce się jeszcze, jeszcze malować, pisać. To jest bardzo niebezpieczne dla malarza. Jestem przekonany, że zwolniłem mój rozwój malarski przez to, że za dużo pracowałem. Że pracowałem, kiedy jeszcze nie widziałem. I potem, jak się rozchorowałem, to puściłem lejce. Przez nie wiem ile tygodni nie malowałem. I tutaj był ten Corot. Ale zaręczam ci, że kiedy go potem widziałem, to nie było w nim nic nadzwyczajnego. Był biały koń, czarnozielony las za plecami. Dlaczego ja to tak przeżywałem, tego nie rozumiem.

O tym już pisałeś. Ale czy potrafiłbyś nazwać tę rewelację?

Miałem serdecznego kolegę, malarza, który już umarł. Mieszkał w Londynie. I ja do niego napisałem, żeby poszedł do National Gallery i zobaczył tego Corota, co tam w nim takiego jest, co mnie tak zauroczyło. I on dość zażenowany napisał mi list: „Patrzę, patrzę, nic nadzwyczajnego nie widzę, inne Coroty o wiele więcej lubię. No, zwyczajnie sobie malarstwo”.

Nigdy jednak nie wiadomo, jaką drogą dochodzi się do takich rewelacji.

O to chodzi, to są rewelacje. I to jest prawda, że rewelacja ta była i nadal we mnie jakoś istnieje.

Patrząc od wewnątrz, są to być może dwie różne drogi. Ale z zewnątrz wygląda na to, że w tym samym czasie, w Londynie, rewelacja Prousta nałożyła się na tę rewelację malarską. Znam to z własnych doświadczeń, że bardzo często tego typu rewelacja jest jakby uwolnieniem się od czegoś, co w człowieku tkwiło, a on nie potrafił tego dostrzec.

Wyzwoleniem... Ta straszna miłość Prousta. Beznadziejna. Kroczyłem po moich ranach. Przeżycie Prousta było związane z moim bólem. Żeby nie miał tego bólu, to może bym do Prousta nie doszedł, bo poprzez to nagle odkryłem, że to jest kolosalny pisarz. A to, czy on będzie posiadał Albertine, czy nie, to jest zupełnie uboczna sprawa. Tym bardziej, że to był jego... szofer. I co ciekawe – nie wszyscy o tym wiedzą – to był szofer, który w pewnym momencie od niego uciekł. Jego ta miłość zadrezczała. On był prawdopodobnie normalnym chłopcem. I zapisał się do szkoły lotniczej, wtedy to była nowość. I zabił się. A Albertine zabiła się, spadając z konia. Tak że to jest daleka transpozycja.

Ale czy myślisz, że to wyzwala?

Pogłębia. Dotychczas myślę, że ten ból – czy z powodu kobiety, czy z powodu chłopca, to nieważne. Ważne, jaką ty masz skłonność. Ten ból doprowadza cię do takiej siły bólu, że daje ci jakby odkrycia, które nie mają już nic do czynienia z obiektem. To są bardzo skomplikowane węzły.

Trzeba przyznać, że Proust miał odwagę spojrzeć temu w twarz.

„Przyszło Nieszczęście do człowieka / I zatopiło weń fatalne oczy. / Czekaj – / Czy człowiek zboczy? // Lecz on odejrział mu”. Widzisz, to jest najważniejsze. „Jak gdy artysta / Mierzy swojego kształt modelu [...]. I zachwiało się całą postaci wagą / – I nie ma go!”. To ci mówię zupełnie poza tym wszystkim, o czym rozmawiamy. To jest dla mnie bardzo głęboki wiersz – jeżeli spotyka cię nieszczęście, niezależnie jakie, to odruchowo je ludzie odsuwają, gdzieś w głąb wciągają. „Nie ma go”... Nieprawda! Wyzwoleniem z cierpienia, takiego czy innego, jest pogłębienie go w świadomości, a nie odwracanie oczu. Takie jest moje doświadczenie.

Jest tu jednak moment transpozycji. To nie jest czysta świadomość. Tu w grę wchodzi element twórczy, element jakiegoś procesu. To „odejrzanie” jest chyba z tym związane.

To „odejrzął mu” to gotowość do spojrzenia w oczy nieszczęściu. Naturalnie, że to może pogłębić cierpienie, ale z czasem wyzwoli. A jeżeli – znam takich ludzi – to nieszczęście się zatyka, to zostaje do śmierci.

I wtedy niszczy.

Tak mi się zdaje.

Ale czym jest ta gotowość?

Gotowość to jest coś w tobie, co pozwala widzieć prawdę. Prawdę, nie tę, że on ma pryszczka na nosie czy coś takiego. Widzieć prawdę – to wyzwala. I nie tylko w uczuciach. To daje wyzwolenie. Ale jest to szalony trud.

Myszę, że dopiero wtedy można prawdziwie pokochać.

Absolutnie. Ja nawet nie tak dawno miałem takie przeżycie, że ból rośnie podobnie jak w termometrze temperatura: 39, 40, 41, 42... Jakże to może być? Termometr pęknie! Termometr nie pęka, a czasami daje wtedy światło. Rośniesz ze zdziwienia, że jesteś zdolny do takiego cierpienia. „*Die Welt ist tiefer als der Tag gedacht*”⁵⁹ – to Nietzsche.

Cofnijmy się nieco. Czy wtedy, kiedy zaczynałeś wchodzić w ten Paryż lat dwudziestych, kiedy chodziliście z siostrą na zapraszane spotkania, czy miałeś wtedy kogoś tak bliskiego?

Wtedy jeszcze na „zapraszane” spotkania nie chodziliśmy. Sam początek to była bieda z nędzą, to było ratowanie na gwałt chorego Zygi, to było gotowanie.

Ale był jeszcze jeden człowiek, którego muszę wspomnieć – to Anatol Mühlstein. To był naprawdę przyjaciel, człowiek wielkiej inteligencji, który miał ogromne stosunki. Ambasadorem naszym był wtedy... już nie pamiętam, jak się nazywał..., typowy, znał się świetnie na burakach, miał wielkie pola buraczane w Poznańskim, ale nie był na poziomie. I wtedy Beck

⁵⁹ Dosł. Świat jest głębszy, niż myśli o nim dzień (niem.).

wysłał Mühlsteina z rangą ministra i właściwie grę polityczną prowadzono przeważnie przez niego, bo on znał wszystkich. Był żonaty z Rothschildówną. Więc z jednej strony jest żonaty z Rothschildówną, co też reprezentuje coś dla Francuzów, z drugiej strony zna cały świat polityczny i jestem przekonany, że był masonem, jak prawie wszyscy wtedy politycy. Ale tego nie powinienem mówić, bo nie mam żadnych danych.

Ale poznałeś go w Paryżu czy już w Warszawie?

Nie, nie. Poznałem go dopiero w Paryżu i byłem bardzo zaprzyjaźniony z jego córkami. Miał prześliczne córki...

Oni byli bardzo bogaci. Mühlstein bardzo mnie lubił, jak również moją siostrę. Był bardzo polski, szalenie polski. Kochał się w Mickiewiczu. I w pierwszym momencie bardzo nam pomógł, kiedy zrobiliśmy pierwszą wystawę w 1931 roku w Genewie, gdzie ja jakieś sto pięćdziesiąt obrazów naszej grupy przewiozłem. To była tam jakaś taka jeszcze nie ambasada..., jakaś polityczna placówka, która się Ligą Narodów zajmowała. Wtedy Liga Narodów to była wielka kwestia. Więc oni posiadali te wszystkie adresy. Jakiśmy robili wystawę, to oni rozesłali zaproszenia tam wszędzie, gdzie się wysyła zaproszenia do ambasad. Politycznie... I na tę wystawę niesłychanie tłumnie przybyło. Ja sobie wyobrażałem, że to wielki sukces, bo byli zaproszeni ci ludzie, a na drugi dzień nie było psa z kulawą nogą. I to wszystko ja na swoich plecach nosilem. Wtedy właśnie dowiedziałem się, że jest Mühlstein. Słyszałem już o nim, że on jest taki zakochany w Mickiewiczu i że kocha się w literaturze. Więc poszedłem. Pamiętam, leżał na łóżku w takim jakimś eleganckim szlafroku stary człowiek, szalenie miły, i czytał właśnie Mickiewicza. Naturalnie, on nie miał pojęcia, kto ja jestem, więc mu tylko powiedziałem, że mamy wystawę, że pies z kulawą nogą nie przychodzi i że nie wiemy, co mamy zrobić. On, stękając, wstał z tego swojego łóżka, ubrał się i zaraz poszedł do tego naszego ministra, który tam był...

Czy nie był to Lechoń?

Nie, Lechoń był domownikiem u Mühlsteina...

W każdym razie zaprowadził mnie tam. Zaraz ministra za kark i na wystawę. Minister kupił dwa, trzy obrazy, no i potem to poszło. Jeszcze inni ludzie nas ratowali. Stryjeńscy. Był stary Stryjeński, który był taką *persona grata*, razem z Matejką re-staurowali Pannę Marię, i to był przyjaciel mego ojca. Ten – to był jego syn. I ten syn właśnie utworzył Instytut Propagandy Sztuki. IPS. Szalenie dużo zrobił.

Poznałeś go w Paryżu?

Już w Paryżu. Zaklinał, żebyśmy zaraz wracali do Polski. Zresztą ja już byłem zdecydowany wracać, tak że jego mowa nie miała wpływu. Ale jemu szalenie chodziło o to, żeby to, czegośmy się tu nauczyli, przekazać Polsce. Takie było moje „szczęście”, że zaledwie w trzy miesiące po moim przyjeździe do Polski bardzo młodo umarł.

Wspominałeś, że z końcem lat dwudziestych i z początkiem trzydziestych taką ważną postacią w życiu towarzysko-artystycznym w Paryżu był Cocteau. Może byś o nim troszkę powiedział.

Cocteau był wtedy królem poezji, nie tej chwalonej przez Akademię, ale poezji młodzieży poetyckiej. I został przecież swego rodzaju gwiazdą tamtej epoki. Ja się wybrałem do niego jak do gwiazdy. Interesowało mnie to wszystko. Przyszedłem do niego, ale myślałem, że może jakiś lokaj, że mnie wyrzuci i nie przyjmie. Był w jakimś swoim mieszkanku i golił się. No i przyjął mnie tak, jakbym ja ciebie przyjął. Równy z równym. Co było dla mnie nieoczekiwane, bo ja byłem oberwańcem cudzoziemskim. I długo mi opowiadał rzeczy, które potem znalazłem w jego tekstach. To był człowiek wielkiego uroku.

Cocteau znał Jasia Tarnowskiego z Dzikowa.

Ja kiedyś tam Jasia do niego przyprowadziłem. Ale Cocteau był wtedy w bliskich stosunkach z Maurice'em Sachsem, który dosłownie żywił kult wobec Cocteau. Miał u siebie fotografię Cocteau z zapaloną świecą przed tym portretem. Sachs był znany z tego, że był niesłychanie piękny i bardzo utalentowany. Można znaleźć jego książki.

Ty go poznałeś?

Poznałem, byłem pod jego urokiem. Wtedy skończyło się na tym, że oni obaj stali się katolikami po spotkaniu z Maritainem.

Cocteau też?

Jak najbardziej. Spotkałem Maurice'a Sachsa pierwszy raz w mieszkaniu Maritaina w Meudon. Maritain dał mu pokój i Sachs, doskonale się zadomowiwszy, siedział tam w pantoflach i na biurku trzymał fotografię Cocteau. Odnosiło się wtedy wrażenie, że Maritain ma jakiś ogromny dar, bo chodzili do niego ludzie bardzo wybitni i kilku z nich zostało zakonnikami. Między nimi był Sachs, który zdecydował się iść na księdza. Ja go spotkałem jeszcze w seminarium, gdzie dzięki wpływom Maritaina pozwolono mu bezprawnie i przedwcześnie nosić sutannę. Tak że ja go widziałem w sutannie i troszkę mnie to irytowało, kiedy mi tłumaczył, jak człowiek powinien być katolikiem. On był synem żydowskiego jubilera i nic wspólnego nie miał z katolicyzmem. A ja ostatecznie urodziłem się w katolicyzmie. Więc to jego pouczanie trochę mnie irytowało. No i żadnych więcej z nim kontaktów nie miałem.

Ci zakonnicy dostawali jakieś tam wakacje i on wtedy wyjechał na południe Francji, gdzie był jakiś taki bardzo znany arystokrata, który ciągle siedział w tej nowoczesnej poezji, no i tam Sachs zerwał zupełnie, już nie wrócił do seminarium. Przestał być katolikiem i czarował ludzi aż do okupacji niemieckiej. A w czasie okupacji miał najbardziej niesławną aferę. Wtedy już z nim ludzie zerwali. Widziałem go raz u hrabiny Pastré, która była sąsiadką Radziwiłłów. Zmienił się w handlarza obrazów. Był brzydki, ze zwisającym papierosem. Stał się okropnie brzydki. Patrzył na obraz Soutine'a, chciał go kupić. Zajmował się wszystkim, bo nie miał pieniędzy. Widziałem go wtedy ostatni raz, a potem się dowiedziałem, że miał okropną reputację, że wszedł w daleko idący handel z Niemcami. Niemcy jakoś go potrzebowali, bo prawdopodobnie przez niego trafiali do różnych kolekcji, ale ostatecznie go zaarrestowali. Siedział w więzieniu gdzieś w Belgii, no i tam podobno był szpiclem swoich kolegów,

donosił na nich Niemcom. Był więc już straconym człowiekiem. I kiedy go wypuścili, przysłała wiadomość, że zastrzelili go właśnie ci koledzy. To był jeden z najbardziej haniebnych przykładów ludzi, jakich znałem. Czytałem potem jakieś jego wspomnienia – ale nie z tych czasów – świetnie napisane. Miał wielki talent. On początkowo razem z Soutine’em ukrywał się u takich bardzo sympatycznych ludzi (znałem tylko kobietę), którzy na rue Bonaparte mieli sklep bardzo luksusowych mebli i tam ich przetrzymywali. To oni uratowali Soutine’a.

Ale sam Sachs potem już się nie ukrywał?

Z początku się ukrywał, ale potem poszedł najgorszą linią.

Wracając do Cocteau – czy wtedy go czytałeś?

Właśnie się zastanawiam. Na pewno czytałem... Ale on wtedy robił film, bardzo wysoko ceniony.

Zrobił parę filmów. Był postacią nie tylko w literaturze.

W filmie ryzykował szalone rzeczy, które były zupełną nowością. *Il se droguait*⁶⁰, to także.

Znałeś go z salonu Misi?

Nie, przed salonem. Znałem go jako człowieka. To był ogromnie przyjazny człowiek, dobry człowiek. Tak że byłem trzy, a może dwa razy w tym jego mieszkanku. On zdaje się mieszkał jeszcze u swojej matki. Miałem z nim takie stosunki, jakie się ma z ludźmi nieprzeciętnymi, którzy wskutek tego nie mają żadnej *hiérarchie*: ten bogatszy, ten biedniejszy. Po prostu człowiek do niego przychodził i on wtedy opowiadał.

Może jeszcze kilka słów o Twoich kolegach z grupy.

Dominował nad nami Cybis – w sensie myślenia o życiu. Bardzo to było rozsądne. Potem był August Zamoyski, ten rzeźbiarz, człowiek szalenie koleżeński. On nagle zorganizował

⁶⁰ Brał narkotyki (fr.).

konkurs: na pięć nagród, na dwa tysiące franków czy coś takiego, to znaczy wtedy zupełnie niezła suma dla malarzy. A myśmy byli wtedy całkiem nieznanymi, nawet w środowisku polskim. I nagle w tym konkursie wszystkie pięć nagród przeszło do kapistów.

To był konkurs zorganizowany tu, w Paryżu?

Tu, w Paryżu. Ludzie, którzy stali na czele tego konkursu, to Friesz oraz inni pierwszorzędni malarze. A zorganizował to Zamoyski w swojej pracowni.

Miał takie stosunki?

To były nie tylko stosunki, to były pomysły. Jak przyjdiesz do wielkiego malarza i powiesz: „Proszę pana, jest młodzież nadzwyczajna, która z Polski przyjechała studiować tutaj. Niech pan o 4.50 przyjdzie zrobić konkurs”..., to koniec, konkurs będzie!

No tak, ale musiały być pieniądze.

Skąd były, nie wiem. W każdym razie nie jego pieniądze. Może częściowo z ambasady. Chociaż właściwie ambasada nie bardzo się nami interesowała. Może z organizacji francuskich.

To był pierwszy wasz sukces?

Nagle olśnienie: pięciu ludzi i wszyscy z tej samej grupy. Dopiero potem zdecydowaliśmy się robić wystawę. I wtedy, w 1929 roku, zrealizowaliśmy ją. Ta wystawa rozgłosiła nas. Był na niej niski pan ze Szwajcarii – to był Moos, główny marszand w Genewie. No i on się zgodził, byśmy w rok później zrobili wystawę w Genewie. To była duża wystawa, sto kilkadziesiąt płócien, która zresztą z początku nie miała powodzenia. A ci moi chłopcy siedzieli w Paryżu i ryczeli o pieniądze, żeby już coś zarobili itd.

Sam byłeś w tej Szwajcarii?

Potem jeszcze dojechał Jan Cybis i Artek Nacht. Liczyłem, że mi pomogą. Nic nie pomagali, tylko chodzili nad jezioro,

zdejmowali buty i moczyli nogi. I nic nie zrobili. Po tej wystawie wszyscy wróciliśmy do kraju.

I tu pojawia się postać Stryjeńskiego.

Jak już mówiłem, on już w Paryżu szantażował nas, serdecznie szantażował, żebyśmy wracali. To był pierwszorzędnny człowiek, miał zawsze sto pomysłów. Przede wszystkim kochał góry. Zakopane było jego stolicą. Ze wszystkimi ministrami był na „ty”. Kazik to, Kazik tamto, tu musisz kupić itd. Tak że on nam ruchu narobił dużo i jemu masę zawdzięczamy. Kochał się wtedy szalenie w Feli Lilpop, która później wyszła za Kranca, syna jakiegoś przemysłowca żydowskiego, wspaniałego człowieka, bardziej pierwszorzędnego niż Fela. Fela miała snobizm na pewne sprawy. Ale znałem ją od dawna, jak siostrę. A Stryjeński był żonaty z Zofią Stryjeńską, kobietą uroczą i wariatką zupełną. On przeżywał z nią wariactwo, zrywał, wracał itd. Pewnego razu chciał iść na bal, to ona mu nożyczkami pocięła cały smoking, żeby nie mógł iść. Był architektem, robił plany restauracji Zakopanego. Wszystkie plany mu spaliła, z zazdrości. Cholerna miała temperament, ale i niewątpliwy talent. Potem się zupełnie rozeszli i wtedy on się namiętnie zakochał w Feli. A po trzech miesiącach mego pobytu w Warszawie umarł.

Zupełnie nagle? To był stosunkowo młody człowiek.

Młody człowiek. To była jakaś taka paskudna choroba mózgowia. Dla Feli to była tragedia. Pamiętam, jak mi kiedyś powiedziała: „Nie wyobrażaj sobie, żebym ja nie wyszła za niego, gdyby żył”. On ją otoczył swoją miłością, kochał ją ogromnie. Kiedy umierał i wywieźli go do Krakowa zdaje się, Fela cały czas była przy nim. A co ciekawe, że w rok czy w dwa lata potem wyszła za męża za Kranca, który fizycznie był bardzo podobny do Stryjeńskiego.

Stryjeński zdążył jeszcze zorganizować IPS.

Gdyśmy przyjechali, to Instytut Propagandy Sztuki już istniał. I mnie zaraz tam wsadzili jako taką znaczną osobę z Paryża.

Twoja siostra przyjechała z wami?

Zdaje się nawet wcześniej. Też do Warszawy. Miałem wtedy pierwszą w życiu pracownię na Filtrowej. Duże mieszkanie bardzo miłego człowieka, nauczyciela z żoną i dwiema uroczymi córeczkami. Odstąpili mi duży pokój na pracownię. Żyłem z nimi doskonale, nie mieliśmy żadnych relacji, tyle że mieszkaliśmy w tym samym domu. On się po jakimś czasie zabił, nie wiadomo czemu. Dobrego gatunku ludzie... Ale perłą była Wierka z dalekich Kresów, która skarżąc się, że na Boże Narodzenie została sama, mówiła: „A ja jedna została i jak ta maupa orzechy gryzła”. Ta „maupa” mi została. Zakochała się w królowej Belgii, tej, która się zabiła. W gazetach wszędzie były naturalnie jej fotografie z dziećmi, z robotnikami. I Wiera te wszystkie fotografie naklejała na ścianie nad swoim łóżkiem. Miała takie nabożeństwo do tej biednej królowej. Tak że jak przyszło Boże Narodzenie i zastanawiałem się, co jej podarować, to za wielką zniżką kupiłem jej taki wielki tom sprzedawany w ambasadzie – fotografii królowej. To był dla niej największy prezent. Kiedy wracałem wieczorem, to ona już siedziała na moim łóżku z książką i musiałem jej jedną stronę przetłumaczyć, bo to było po francusku. „*Sa Majesté samuse avec les enfants dans le jardin de pipipipi...*”⁶¹, rozumiesz. I ona z nabożeństwem się w to wszystko wsłuchiwała. Na drugi dzień znowu przychodziła, znowu musiałem jej tłumaczyć. Tak że wziąłem na siebie straszny ciężar tej królowej.

Wiera była typowo kresowa. Telefonowano czasem do mnie, mówiąc „hrabia”, to ona zapytała, co to jest „hrabia”. Powiedziałem, że to więcej niż papież, że to ogromna rzecz. „Coś ty kłamiesz, coś łżesz, to tak nie jest”... W każdym razie nazwała mnie „hrabiczek”.

W Warszawie był wtedy jeszcze Twój ojciec?

⁶¹ Jej Wysokość bawi się z dziećmi w parku pipipipi... (fr.).

Nie, był w Wilnie i z Wilna przyjechał do Mordów, żeby tam umrzeć. Mordy były wtedy najbliższym domem rodzinnym. Bardzo często tam bywaliśmy, jeździliśmy tam na święta.

Ja wtedy natychmiast zaprzyjaźniłem się z pisarzami, z Jerzym Andrzejewskim, z Adolfem Rudnickim.

Oni byli wszyscy młodszy od Ciebie.

O całą generację, w każdym razie obyczajową. Bardzo się przyjaźniłem z Rudnickim. Tutaj, po latach, rozeszliśmy się, ale tam masę go widywałem i bardzo go lubiłem. I myślałem sobie, że teraz trzeci będzie Gombrowicz, który już grasował. No i Gombrowicz do mnie przyszedł. Bardzo mnie zirytował, ciągle robił grymasy. Pamiętam, że w jednym ze swoich artykułów opowiada o takim hrabi, który się szczyił rasową pęciną, stale ją wystawiał itd. I ja węszyłem, że on przyszedł do mnie po prostu po to, żeby ze mnie małą zrobić. Nic nam nie wychodziło: ja mówiłem o malarstwie, on o pisarstwie – malarstwo w ogóle go nie obchodzi, ale musi mieć piętnaście tysięcy złotych, bo on musi robić koktajle. Wtedy się mówiło *five o'clock*. Ja mówię: „Proszę pana, czy pan zwariował? O co panu chodzi?” „Nie, ja muszę mieć, bo muszę widywać ludzi” itd. Dzisiaj rozumiem, naturalnie, że o to mu chodziło. Przecież jak on o tych ludziach pisał! Taka pani Marta Krasińska, jedna z rzadkich pań, która się niby interesowała sztuką, a jednocześnie zajmowała się biednymi dziećmi, no i wydawała obiady, na które tam jęgo zapraszała.

Ordynatowa Marta Krasińska z Królikarni?

Zdaje się, że tak. I on zrobił z niej taką hrabinę, która hodowała dzieci i z tych dzieci gotowała doskonałe potrawy...

Tak, to dość okrutne opowiadanie.

*Je ne la fréquentais pas*⁶². Może raz byłem, zupełnie mi się nie podobała. Te światowe *five o'clocki*... Byłem zawziętym

⁶² Ja u niej nie bywałem (fr.).

wrogiem tych rzeczy, żyłem z malarzami, oni byli moimi *five o'clockami*.

Kto z was kapistów był wtedy w Warszawie?

Cybisa nie było chyba. Potworowski osiadł w Poznańskim u krewnych. Odziedziczył jakiś majątek, był tam bardzo szczęśliwy ze swoją żoną. Jeździł tam też Janusz Strzałecki ze swoją żoną. To było jakby drugie piętro kapistów, ja z nimi blisko nie żyłem w tym czasie.

A jak było z Waliszewskim?

Waliszewski wrócił wtedy do Krakowa i ożenił się. Trzy razy amputowany... Ożenił się z genialną kobietą. Jak ona go kochała, jak do śmierci przy nim była! Myśmy się z nią przyjaźnili całe lata później.

Jak się nazywała?

Nic nie pamiętam. Miała siostrę, która dotychczas jest aktorką, latem tu przyjeżdża, ma tu brata lekarza, zawsze stara się tu do mnie zajechać. Bardzo miła kobieta. Właściwie węzłem kapizmu był prędzej Kraków, nie Warszawa, bo Zyga był w Krakowie.

Była jeszcze redakcja „Głosu Plastyków”.

Tu był Mitera. Szlachetny kolega.

Ty się tam udzielałeś?

Po prostu pisałem. Nie wyobrażasz sobie, do jakiego stopnia wszyscy byli ignorantami. Rektorem naszym był Szyszko-Bohusz. Popierał nas, widział, że jesteśmy zwariowani, że warto z nami pracować. I wyszło takie zamówienie dla kilku najlepszych z nas, byśmy malowali rzeczy dla Zamku. Pamiętam, że były schody, na ich końcu jakaś sala, a naprzeciwko schodów miejsce na obraz Jana Cybisa. I on chciał też namalować schody, jakieś takie weneckie, renesansowe malarstwo. I w żaden sposób nie wychodziły mu te schody. I tak rysował jedno za drugimi, jedno za drugimi... Ja na to popatrzyłem

i mówię mu, że to zupełnie proste, tylko trzeba, żeby to się zwężyło... On to zobaczył i powiedział: „Ty jesteś genialny”. A ja miałem jakieś tam lekcje perspektywy, elementarz... Jan tego nie wiedział. Tak że to był jeden z momentów, kiedy ja się czułem genialny. Kilka razy miałem takie zdarzenia, kiedy znajdowali, że jestem genialny, a to tylko dlatego, że ja abecadło znałem.

Nowe spotkania miałeś jednak z pisarzami.

No tak, jak mówiliśmy – z Andrzejewskim, Rudnickim, z Uniłowskim również. Pijak straszny, ale bardzo sympatyczny człowiek. Był też wspomniany Jaś Tarnowski z Dzikowa, jak najgorszej reputacji, szalenie atrakcyjny dla wszystkich. Nie mówię już o tym, że był bardzo piękny. Interesował się malarstwem i natychmiast zaprzyjaźnił się ze wszystkimi. Pamiętam, urządziliśmy bal w 1955-ym. 1955 był naszą stolicą, precz z Zachętą, nie chcieliśmy znać tego, wszystko źle, źle, źle. A 1955 był fontanną geniuszów... Jak przyjechałem z Paryża, poproszono mnie, bym zorganizował serię odczytów o różnych kierunkach malarskich. No i na początek wybrałem największego polskiego abstrakcjonistę Strzemińskiego. Bardzo go polubiłem, choć malarsko byliśmy wrogami. Powiedziałem mu raz: „Nie rozumiem, kolego, dlaczego wy z nami gadacie! Przecież w porównaniu do was to my jesteśmy...”. „Nie, nie, wy jesteście pożyteczni, bo czyścicie stajnię Augiasza”. On nawet dochodził do tego, że w obrazie wprowadzał element „ π ”. Żeby mnie zabili, nie wiedziałem, co to jest, ale nawet w rachunkach tych obrazów było to „ π ”. Więc ja zrobiłem o nim taki odczyt. Myślałem, trochę jak Cybis z tymi schodami, że zorganizować odczyt to nazwać człowieka, posadzić go na krzesło i samemu pójść na spacer... A okazuje się, że jeśli nie ma nikogo, kto by pilnował, to się potem robi draka! Jak zaczęli się kłócić między sobą, to ledwie krzesel nie przewracali. Zrobił się rozgardiasz. Staralem się to potem uspokoić, ale to były moje początki „socjalnej” pracy malarskiej.

A Jaś Tarnowski, byłeś z nim blisko?

Bardzo blisko, zanadto blisko. Strasznie mnie oburzało to wszystko, czego się o nim dowiadywałem. Ratowałem go,

WYDAWCA
Wydawnictwo Próby
Warszawa 2024

REDAKCJA
Mikołaj Nowak-Rogoziński

KOREKTA
Bartosz Choroszewski

PROJEKT GRAFICZNY
Janusz Górski

DTP
Krzysztof Gotowicki

DRUK I OPRAWA
Pozkał, Inowrocław

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

WYDAWNICTWO PRÓBY
00-029 Warszawa, ul. Nowy Świat 33 m. 15
tel. (22) 657 10 44
biuro@wydawnictwoproby.pl
www.wydawnictwoproby.pl